



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

### OSTATNIE CHWILE ABELARDA

FRAGMENT.

(Klasztorna celi. — Abelard umierający na łożu).

**Abelard.**

W samotnej celi i zdala od ludzi  
Serce me wędnie w spokojnej boleści;  
Już go do życia żaden głos nie zbudzi,  
Nawet ten wielki głos, co w życiu mojem  
Był najobfitszym dla mnie siły zdrojem.  
Dziś ten głos tylko ponuro obwieści  
Konieczność zgonu.

Bądź przekłeta chwilo,

W której się moje wyległy marzenia!  
Ach, nie wiedziałem, że marzenia mylą,  
I szedłem naprzód, wyższą pchany siłą,  
Siłą, co ludzkie piersi przepłomienia.  
I cóżem zyskał? Może tylko tyle,  
Że dziś poznałem, iż wszystko to było  
Marzeniem tylko! Najpiękniejsze chwile  
Młodości mojej, nad pracą strawione,  
Nakształt zblakanej gwiazdy przeleciały;  
Została tylko, zamiast słusznej chwały,  
Wzgarda u ludzi i straszne wspomnienie  
Godziny, w której na własną obronę  
Zaprzec się swoich idei musiałem.  
Teraz konajcie wolnych myśli cienie!  
Wszystko stracone!

**Heloiza (wchodząc).**

Niel nic nie stracone:

I wiara twoja złączona z zapalem,  
I myśli twoje, praca, ducha dzielność,  
I miłość twoja.... Nie, nic nie umiera,  
I ty nie umrzesz!

**Abelard.**

Wiem! że nieśmiertelność

Czeka mą duszę; ale cóż mi po tem,  
Że tam, po śmierci, nieujęta sfera,  
Jakaś nieznana, niewytłómaczona,  
Wchłonie mnie w siebie? że duch błądzić będzie  
Razem ze światów, z jasnych słońc obrotem,  
Aż o niebieskie oprze się krawędzie?  
Jam życie wysłał z naszej ziemi łona,  
Ja kocham ziemię i.... kochałem ludzi;  
A dziś?

**Heloiza.**

Dziś ludzkość trzeba kochać całą.

Kiedy jednostki twą miłość zgwałciły,  
Niechaj ich podłość piersi twych nie studzi;  
Serce twe, które tak wiele cierpiało,  
Otwórz dziś całe dla cudów natury,  
A wówczas wrócą dawne jego siły.

**Abelard.**

Nie, dziś natura czysta mnie przeklina  
Za fałsz, za słabość moję jednej chwili.  
Słyszysz, jak nawet te posępne mury  
Szepcą pogardy słowa.

**Heloiza.**

Ta godzina,

W której duch siebie oskarżyć się sili,  
I wieniec z cierni sam dla siebie plecie,  
Jest jednym z większych tryumfów człowieka  
Nad namiętnością swą i zaśpieniem.

**Abelard.**

Słuchaj, dziś jeszcze widzę w Paraklecie,  
Jak tłum młodzieży zebranej mnie czeka;  
Wchodzę i myślą z młodzieżą się dziele,  
Promieniem wiary kreślę prawdy koła  
I razem ze mną młodzi przyjaciele,  
Myśl wyzwajając z bezdusznej przemocy,  
Wchodzą do prawdy odwiecznej kościoła,  
Gdzie na ołtarzu boskie myśli płoną,  
Co, rozwiewając mrok posępnej nocy,  
Łączą się w nimby i taką koroną,  
Jak z gwiazd uwita, wieniec ludzkie czoła.  
To były wiary i zapалу chwile.

**Heloiza.**

A dziś dla ciebie czem tych chwil wspomnienie?

**Abelard.**

Czem? Przekonaniem, że łez moich tyle  
Próżno wylałem, że me słowo żywe  
Marnie skonało, nie wydawszy plonu; —  
I więcej jeszcze, bo tem przeświadczeniem,  
Że to, co zacne, święte i prawdziwe,  
Nie ujdzie nigdy męczeńskiego zgonu.

### Heloiza.

Pozornie tylko, wierz mi, Abelardzie.  
Raz w piersi ludzkiej wielka myśl zrodzona,  
Choć u współczesnych może być w pogardzie.  
Jednakże nigdy nie skona:  
Pod tchnieniem wieków, po burzliwej fali,  
Wciąż pędzi dalej i dalej,  
I coraz szersze wciąż zakreśla koła,  
Coraz ognistszym przebiega promieniem,  
Aż wszystkie serca rozpali  
I wszystkie rozjaśni czoła;  
A choć jej pierwsze ognisko zagaśnie,  
Ten, kto ją zrodził, choć skona:  
Iskra ciemnotą tłumiona  
Wybuchnie silniej, zapłonie tem jasniej,  
Im dłużej była tłumiona.

### Abelard.

Kto mówi do mnie? zkąd głos ten, o Boże?  
Głos ten słyszałem dawno już, przed laty,  
Gdym jeszcze szyi nie ugiał w obrozę,  
Gdy piersi moje płonęły zapalem,  
Gdym w myśli burzył i podnosił światy —  
Wówczas te głosy słyszałem.  
A więc to prawda? więc te myśli moje  
Dziś, Heloizo, w twojej głowie płoną?

### Heloiza.

Tyś sam je przelał. Pamiętasz te chwile,  
Gdys poraz pierwszy otworzył podwoje  
Świątyni prawdy przede mną;  
Gdys myśli bożych gwiazdzistą koroną  
Uwieńczył moje skroni i ognia tyle  
Wlał w piersi moje i zasłonił ciemną  
Z oczu mi zdarłeś? — a potem, a potem...

### Abelard.

Milcz, milcz, na Boga, o nie, przypominaj  
Tych chwil rozkoszy, co dziś, jakby młotem,  
W pierś moję biją! Raczej mnie przeklinaj,  
Żem duszę twoję wyrwawszy z uspienia  
Otoczył rojem niebieskich mamideł,  
A nie przypiąwszy jej do lotu skrzydeł,  
Skazał na wieczne tęsknoty, pragnienia,  
I ziemię piekłem uczynił dla ciebie!

### Heloiza.

Niebem, nie piekłem! Tyś zbudził mą duszę  
Ze snu straszego, snu nicości w grobie:  
I dziś ja kocham i żyję i myślę,  
A cierpiąc życia katusze,  
Umiem ulecieć w jasny kraj aniołów,  
Z duchami złączyć się ściśle;  
Umiem pogardzać fałszem i podłością,  
Co tak nad światem ciężą jako ołów,  
Przemoc wyklinać i prawdę z miłością  
Szczepić w słuchaczek mych gronie,  
I żyć nadzieją, że kiedyś, w przyszłości,  
Wszystko, co podłe, własnym ogniem spłonie,  
I miłość jedna wśród ludzi zagości.

### Abelard (współseny).

Tak ja mówiłem ongi! Mów mi dalej,  
Mów, Heloizo! Twego głosu dźwięki  
Unoszą w przyszłość mnie na wieków fali:  
I widzę ludzkość, i słyszę jej jęki...  
Patrz, patrz, tam płoną ofiarne ołtarze,  
Tam krew, zniszczenie; już skonały bogi.  
Okropne, straszne, blade ludzkie twarze;  
Straszne ich kłatwy i śmiech ich złowrogi,  
Jak fale piasku tak mącą powietrze,  
Gdy się huragan z huraganem zetrze.

Wszyscy konają, już przedśmiertne dreszcze  
Wstrząsają członki krwawe raz ostatni,  
Już, już... skonali. Nie, nie... żyją jeszcze:  
Na martwych ustach błysnął uśmiech bratni,  
Na licach zagrało życie,  
Duch wstał w trupa i trup znowu ożył  
Ręce na piersi położył,  
Wzrokiem utonął w błękicie.  
O Heloizo, idź naprzód bez trwogi,  
Tam czeka męczeństw korona,  
Lecz... zmartwychwstają odmlodzone bogi...

(umiera)

### Heloiza.

Człowiek umiera, ale myśl nie kona.

J. Nitowski.

## POGA WĘDKA.

Kiedy ta wiosna ostatecznie przyjdzie, to przyjdzie, ale przyjsć musi; a z nią rozpocznie się uroczy nasz „letni karnawał“, rozpocznią się wycieczki do Łazienek i Botaniki, wystawa inwentarza na Ujazdowie, wyścigi, regaty, wianki i wyjazd na willegiaturę.

Lat temu kilka rozpisywałem się tutaj o projekcie przyjemnego i pożytecznego spędzania wakacyjnych miesięcy; zamiast siedzieć na miejscu, czy nie lepiej i praktyczniej puścić się w podróż oile możności udogodnioną — po kraju, na zwiedzanie pięknych okolic, pamiątkowych zabytków, poznać swoje strony, przypatrzeć się ludziom i ziemi?...

Takie włóczęgowstwo, zwłaszcza w liczniejszym towarzystwie, ma swój odrębny urok. Zagranicą bardzo często urządza się tego rodzaju zbiorowe podróże i wycieczki, u nas projekt istniał od dawna, ale nie przyszło do wykonania, bo u nas między projektami a wykonaniem stoją zwykle niebotyczne góry, bystre rzeki i morza niezgłębione.

Obecnie ktoś w *Kuryerze Codziennym* wystąpił na nowo z propozycją założenia towarzystwa turystów.

Wnioskodawca motywuje swój projekt bardzo dobrze i zachęcająco; powiada, że stowarzyszenie mogłoby wejść w układy z wybranymi właścicielami hoteli i zajazdów, którzy niewątpliwie zgodziliby się na pewne ustępstwa od zwykłych cen dla stowarzyszonych podróżników; na kolejach i statkach parowych możnaby wyjednać pewne obniżki, zresztą kosztą wspólnej podróży w liczniejszym gronie dałyby się znacznie zmniejszyć.

Oprócz osobistych korzyści każdego z uczestników takiej wycieczki, zyskałaby na tem fizjografia, mielibyśmy ułatwioną sposobność badania kraju pod względem ekonomicznym, etnograficznym, archeologicznym i t. d.

W miarę rozwoju, towarzystwo takie mogłoby urządzać podróże dalsze — choćby do bieguna północnego lub do równika.

Wszystko to pięknie pomyślane, ale dopóki ktokolwiek z czynną inicjatywą nie wystąpi, póty sprawa ani na krok nie pójdzie naprzód.

Towarzystwo wioślarskie niegdyś miało w projekcie zbadanie całej Wisły na takich nawigacyjnych wyprawach, skończyło się na wycieczkach kilku do Płocka i Włocławka; była z tego ta korzyść, że powstały tam stowarzyszenia wioślarskie i sport wodny zyskał nowych zwolenników.

Możeby projekt podróżniczy znalazł poparcie i inicjatywę w Towarzystwie naszych dzielnych wioślarzy; możeby zajęła się nim redakcja *Wędrowca*, *Wszczęświatu* lub *Pamiętnika fizyograficznego*.

Przyszłe stowarzyszenie miałoby zaraz gotowy organ w jednym z tych pism.

Jestem przekonany, że życie i stosunki towarzyskie zyskałyby wiele na takich wycieczkach;

nigdzie łatwiej o znajomość, niż w drodze. Niejedna Kielczanka wyszłaby może za mąż za Płoczanina, z którymby razem zachwyciała się widokiem Ojcowa; niejednen Lubliniak zakochałby się może w Włocławiance, z którąby go los sprowadził na pokładzie statku wiozącego członków wypraw i ich wrażliwe serca.

Wszystko zatem przemawia na korzyść projektu z każdego względu, który powinien pozyskać poparcie płci pięknej większe, niż proponowany klub... cyklistek.

Wyznaję otwarcie, że ten rodzaj sportu nie wydaje mi się jakoś właściwym dla kobiet, jest w nim coś... cyrkowego, choćby ze względu na koszty, któryby musiał zbliżyć się do męskiego ubrania.

Jeżeli chodzi o wyrobienie mięśni i ekwilibrystyki, to znajdują się inne ćwiczenia odpowiedniejsze naturze i przyzwoitości naszych pań i panienek.

Nie znam opinii lekarzy w tym przedmiocie, ale mi się zdaje, że forsowna jazda na bacyklach nie byłaby korzystną dla organizmów kobiecych.

Zawsze zakrawałoby to trochę na excentryczność, i dlatego przypuszczam, iż reporterya nasza pośpieszyła się z nadto z wiadomością o projektowanym klubie cyklistek.

W sferach teatralnych ożywiło się ostatnimi czasy; opera nasza, która miała dużo podobieństwa z pozytywką, wygrywającą stale jeden i ten sam repertuar, zyskała nowy nabytek w dziele Massenet'a: „Manon Lescaut.“

Libretto urobiono zreczenie i z francuzkim do-wiepiem ze znanej pod tym tytułem powieści Abbé Prévost; muzyka... na muzyce się nie znam, ale wolno mi powiedzieć, że interesująca, w duchu tej nowej szkoły, która kunsztowne efekta składa z głosów ludzkich i instrumentowych i ma zbliżony więcej charakter do matematyki, niż do poezji, więcej kieruje się rozumem, niż natchnieniem i uczuciem.

— Jak się panu podobała „Manon?“ — spytałem jednego z melomanów.

— Są w niej miejsca bardzo zajmujące — odrzekł mi, zmrużając oczy — śliczna robota, orkiestra świetnie prowadzona.

— Ale całość?...

— No, całość nie porwie, nie zachwyci dzisiejszej publiczności.

— A wczorajszej tem mniej, sądę.

— Bo też to się dziś komponuje w stylu publiczności... jutrzejszej.

— Jaka szkoda w takim razie, że nam dziś tej muzyki a conto jutra słuchać każą.

Jeżeli muzyka „Manony“ będzie kwestjonowana, to wykonanie i wystawa na jednogłośnie uznanie zasłużyły. Pokazało się, że u nas można i sztywne chóry rozruszać, i massy ugrupować, i całość złożyć harmonijną, a przy takich siłach solowych, jak pp. Herman, p.p. Mysżuga, Seideman, Chodakowski utworzyć komplet, który mógłby popisywać się na wyższych scenach, niż warszawska.

Treść „Manony“ podobna do „Traviaty“; wątplię wszelako (profanowi to uchodzi), czy dzieło Massenet'a doczeka się tak długiej popularności, i tak długiego żywota, jak ograna nawet na wszystkich katarynkach opera starego Verdiego.

Dramat również odnowił swój repertuar. Po „Najnowszym skandalu“ Barrière'a dano nam „Nowy dziennik“ Bałuckiego w Rozmaitości, a „Nowego Thersytesa“ p. Mielnickiego w Małym.

Nowość nawet w tytułach wyjątkowo zaakcentowana. O komedii autora „Radców pana radcy“ godzi się napisać komu innemu w osobnym miejscu i obszerniej; zaznaczyć mi wypada tylko, że pan Michał dał dotkliwie ciągi dziennikarzom galicyjskim, a gdyby przyszło z tych kilku typów, wyprowadzonych na scenę przez niego wnioskować o całej prassie, byłby to zbiór blagierów, nieuków, arrogantów i wyzyskiwaczy. Tego chyba nie twierdził autor bezwzględnie, tylko tak jakoś w komedii jego wypadło, że „Nowy dziennik“ mógł być redagowany jedynie przez samych wyrzutków i szubrawców, poza którymi niema więcej nic i nikogo.

Publiczność śmieje się z tego i wychodząc

z teatru, powiada z zadowoleniem, które Niemcy nazywają *Schadenfreude*:

— A to ich ściał!...

Kto tnie, słusznie czy nie słusznie, ma u nas rację, kto lepiej tnie—ten większy w danej chwili. Nie chodzi o to, aby nie ciąć wcale, tylko o to, aby nie podcinać tych, którzy na to nie zasługują i muszą nosić pręgę za cudze winy.

Ale dość o tem.

Najbliższą i poznania godną nowością naszego repertoaru ma być dramat współczesny, Eche-geray'a, tłumaczony z hiszpańskiego p. t. „Galeotto“, który panna Marcellówna wprowadza na scenę w niedzielę na swym benefisowym poranku.

„Galeotto“ — to prawdziwa nowość, najpierw przez to, że daje próbkę współczesnej literatury hiszpańskiej i w pożądanym kierunku odświeża repertuar, przeładowany wyłącznie tłumaczeniami z francuzkiego, następnie w pomysł jest całkiem nowym i oryginalnym utworem. Jakkolwiek tytuł brzmi obco, nie po dzisiejszemu, tym, którzy znają Dantego, przypomina historię Franceski z Rimini i „Boską Komedję“. Sztuka osnuta jest na temacie współczesnym, na kwestyi prawie codziennej; bohaterem jest... świat, złośliwy, świat o długim, ostrym języku, który zajmuje się jednostkami, podejrzewa, plotkuje, zarzuca sieci na swoje ofiary, bywa pośrednikiem nieproszonym i w kolidyję wprowadza dwoje ludzi, którzy niewinnie cierpią za winy niepopelnione.

Wróć do tego tematu po przedstawieniu „Galeotta“ i po benefisowym poranku artystki, nazywanej dziś słusznie primadonną naszego dramatu; dochód z przedstawienia ma jej posłużyć do wzmocnienia nadwątłego pracą sił i powrotu do zdrowia, bez którego artystce tak trudno służyć dobrze scenie i sztuce.

\* \* \*

Pogawędki moje mają fatalność; znacie ją: każdą kończyć muszę smutną wieścią o czyjejś śmierci, i to o śmierci dotkliwej, która bywa stratą publiczną. Z kolei przychodzi mi krzyżyk postawić przy nazwisku poety, literata, ruchliwego i zdolnego dziennikarza ś. p. Bolesława Czerwińskiego, zmarłego przed dwoma tygodniami we Lwowie.

Znałem go osobiście z czasów szkolnych, razem wstępowałyśmy na drogę literacką.

Poetą był z ducha, z powołania, obiecywał wiele, rwał się do wyżyn ideału, śmiały lot miał i szeroki; zachwycaliśmy się jego wierszami jeszcze na szkolnej ławie. Później życie go pchnęło na poziomy pracy ciężkiej, dziennikarskiej, na ten wyrodek codzienny dla chleba. Szedł przy taczce, od czasu do czasu wyrwał się i rzucał pieśń... potem musiał wracać do jarzma.

Pozostało po nim niewiele: tom poezyi, kilka szkiców, dramat p. t. „Niewolnik“, mnóstwo artykułów rozproszonych, felietonów, które zdobyły pojedyncze numery lwowskich dzienników, mnóstwo jednodniowych efemeryd...

„Kogo bogi ukochały, tego zabierają młodo.“ Czerwiński umarł; mając dopiero lat 36.

Pokój jego ceniom!...

Quis.

## NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Biedna dziewczyna błagała gorąco, namiennie. Błagała, jak o życie, bo o łaskę spokoju dla swego

zmęczonego serca, o łaskę cichości dla swojej gorzkiej tęsknoty, dla żaloby, boleści swojej, i całowała kolana ciotki, która jej ręk swoich tknąć nie dała, aż przyszedł moment, w którym sierota z ziemi się podniosła.

— Musi mnie słuchać, kto chce jeść mój chleb—zawołała prezesowa.—Wzięłam cię w jednej koszuli i chowałam jak córkę własną. Żadna milionerka, żadna marszałkówna nie miała nic więcej nad ciebie—dodała, i w tej-to chwili Wanda z ziemi się podniosła. Exaltacja boleści już jej gdzieś w głąb serca opadła, schowała się na dno; a że to był właśnie czas, w którym prezesowa powróciwszy z przeglądu gospodarstwa i zabrawszy do kieszeni klucze od gumna, pijała zwykle herbatę, stary Jan postawił na stole w pokoju jadalnym samowar. Wanda stanęła przy nim, jak zawsze, jak zawsze poczęła przyrządzać wszystko, co stanowiło wieczerną ciotki: smarowała masłem skibki chleba, ocukrzyła stojące na stole poziomki, nalala wreszcie herbatę, którą podała ciotce i którą piła też sama.

Piła chciwie, parząc się prawie i znać było, że jej zaschłe usta potrzebują tego napoju, a prezesowa, która zasiadła do stołu z miną poważnie wyniosłą, jak ktoś obrażony, ktoś w prawach swoich dotknięty, spoglądała z boku na synowicę, tem jej nagłym ucieszeniem się zadziwiona i nawet czegoś trochę niespokojna. Na twarzy Wandy tylko ślady łez, które lejąc się niedawno potokiem po rozpalonych licach, obysychały nieocierane, świadczyły o tem, co zaszło; zresztą nie nie pokazywało bolesnego dramatu, który rozegrał się przed chwilą i prezesowa, chcąc okazać swobodę umysłu, której jednak nie miała, zaczęła rozmawiać z Janem. Właśnie przyjęto mu do pomocy nowego chłopaka i ten: jego charakter, jego zdolność wykształcenia się w służbie, stanowiły przedmiot rozmowy. Prezesa wtrącała przy sposobności parę filozoficznych uwag o niewdzięczności ludzkiej — o tem, jak wogóle niewarto jest przywiązywać się sercem do kogoś, bo nam to nigdy odplaconem nie zostaje, ale Wanda ani już się zarumieniła, ani zbliżała pod temi wyrzutami ciotki, rzucanymi jej z boku. Zdawała się jakgdyby zdrtwiała nagle, jagdyby zaniknęła w niej zdolność czucia i myślenia o położeniu swoim i prezesowa nie wiedziała: jakie wnioski wyprowadzać może z tej zmiany naglej? Coś jej nie dawało powiedzieć sobie, że zwyciężyła zbuntowaną, że ją przywiodła do rozumu — coś ją niepokoiło...

Gdy wstano od stołu, co nastąpiło trochę później, niż było we zwyczaju, bo prezesowa nie wiedziała sama, jak jej należy zachowywać się względem synowicy, Wanda przystąpiła do niej, jak zwykle, i, jak zwykle, pocałowała ją w rękę.

Wszak dziś jeszcze jadła ten jej chleb, o którym jej przypomniano i dziękowała za niego, ale stryjenka uczuła, że usta dziewczyny były zimne jak lód.

Nigdy między temi dwiema kobietami nie było tkliwego związku serc. Stryja kochała Wanda jak ojca, bo człowiek to był dobry sercem i przez to serce delikatny, łagodny — za łagodny nawet bo się dał podbić żonie, może z powodu, że wniosła mu posag duży i nieraz przypominała o tem, że gdyby nie ona, jej pieniądze—zeszedłby na małego szlachetkę, jakkolwiek pochodził z rodziny możnej i nosił nazwisko, znane w swojej okolicy. Ale rodzeństwa było ośmiorgo; gdy wrócił z Wilna z uniwersytetu, nie wiedział czego się jąc, chyba wziąć jaką niedużą dzierżawę; lecz sąsiedzi pomyśleli o tem za niego. Była w okolicy panna, tylko co dorosła; wprowadził ojca, u którego była jedynaczką, nie zbyt lubiono, bo dorobił się fortuny nie zupełnie tak, jakby należało, gdy kto chce mieć czyste sumienie i mir u ludzi: nie poobywatelsku, jak się wyrażano wówczas. Chodził dzierżawami, zastawami, na których nigdy nie stracił, a zawsze zyskał, wyciskając z chłopca ostatnią kroplę potu, a z ziemi i jej właścicieli wszelkie możliwe i niezawsze godziwe korzyści. Ale teraz już porósł w grube pióra: miał dobra, a w nich pałac, w pałacu zaś córkę wcale niebrzydką, a sprytną bardzo i okazującą już wielki dar umiejętnego obracania się w świecie: więc postarano się skojarzyć małżeństwo.

P. Ildefons Porzecki spłacił otrzymanym posagiem rodzeństwo i został przy majątku rodowym, na którym przecież ów posag, a nawet cała wyprawa, którą młoda pani w dom wniosła, zostały tak zahypotekowane, że rzeczywiście nie on, ale ona była właścicielką Porzecza. Że dzieci nie mieli, a pani nie chciała szukać rodziny swojej i wyciągać gdzieś z zaścianka opalonego dzieciaka, któryby palec w ustach trzymał a chodzić umiał dobrze tylko na bosaka, więc wzięto Wandę, córkę po jednym z młodszych braci prezesa, która właśnie została po ojcu sierotą.

Adoptacyi żadnej nie było, bo prezesowa nie życzyła jej sobie, mówiąc, że nikt nie powinien wiązać niepotrzebnie przyszłości. — Jeżeli dziecko okaże się dobrem i będzie przywiązane do nas, to postąpimy z nim jak rodzice—dowodziła mężowi, który przystał na to, jak wogóle przystawał na wszystko, co było życzeniem kochanej Teresii.

I wychowanie Wandy prowadziło się według planu nakreślonego przez Teresję. Dziecko było strojone, uczone—chowane popańsku. Stryjenka głosiła o wielkiem przywiązaniu do Wandziuni, która przecież tylko wtedy czuła się w swoim biednym, małym serduszkach sieroty szczęśliwą, gdy ją stryj czasem pogłaskał, czasem na kolana wzięł i do serca sobie przycisnął. Matka sieroty drugi raz za mąż poszła i mieszkała gdzieś daleko w innym powiecie i w kilka lat potem umarła, gdy Wanda była jeszcze niewielką dziewczynką, a miłość stryjenki do niej najwyraźniej wtedy i przez to się zazna-czyła, że lzy sieroty po tej matce dalekiej i w skrytości serca niemal tajemniczo kochanej, uważanymi jej były za dowód niedostatecznego przywiązania, niedostatecznej wdzięczności dla przybranych rodziców, i teraz prezesowa doświadczała podobnego uczucia zazdrosnej wyłączonej. Że Wanda mogła kochać i cierpieć na rachunek własnej doli lub niedoli, obrażało ją i wydawało jej się czemś bezprawnem, przez co była straszną i czuła się pokrzywdzoną. — Nie... rzekła też sobie, patrząc za odchodzącą z pokoju dziewczyną — nie... to się tak skończyć nie może. Mam prawa matki, bom wychowywała jak matka, i nie pozwolę, aby odepchnęła tak świetny los, partją taką...

Położywszy się spać, jeszcze rozmyślała o tem: Wanda musi jutro napisać do p. Romana. Ona sama list jej podyktuje i potrafi rzecz naprawić. Zmieszanie, wzruszenie dziewczęce, które nie dało jej dobrze wejść w serce swoje—to będzie argument zasadniczy. Ludzie rozkocharni nie bywają zbyt ściśle badawczymi, a przytem i ona ręk nie założy. Wywiezie Wandę z okolicy; pojedą po wyprawę do Warszawy, naturalnie, w towarzystwie narzeczonego, poznają jego rodzinę, wstąpią do jego sióstr w Gostyńskie i Wanda, wszedłszy w inny, nowy dla niej świat, przejrzy na oczy, przyjdzie do rozumu. Może popłacze trochę z początku, ale ostatecznie będzie jej wdzięczną za to—będzie szczęśliwą...

Przedstawiając sobie te obrazy przyszłości, prezesowa poczęła się czuć wzruszoną, roztkliwioną nawet—w sercu poczęło jej się coś poruszać. Choć na swój egoistyczny sposób kochała ona przecież Wandę—uważała ją za własność swoją, za swoją rzecz, ale kochała zawsze i w tej chwili uczucie to zaczęło dawać znać o sobie. Przedstawiła ją sobie mężatką, panią zamożnego domu, obok młodego, dorodnego męża, a potem matką dzieci. Dla niej byłyby to jakoby wnuczęta, i uczuła, że kochać je będzie. Swoich dzieci nie miała nigdy; Wanda dostała jej się już dziewięcioletnią dziewczynką, i to wrodzone kobiecie, instynktowne niemal uczucie dla dziecka—delikatnej, drobnutkiej, niezdolnej sobie radzić istotki, zaczęło ją ogarniać i wzruszać. Nigdy nie miała w rękę dziecińki malehkiej, nie spowinęła jej, nie huśtała na rękach, uciszając w płaczu, nie usypiała śpiwając: — „Spój mój ty świecie“ i teraz uczuła jakiś żal, jakąś tęsknotę za nieznanem szczęściem. Może dziedziczny w córce lichego dorobkowieza i wychowaniem rozwinięty, wyrobiony egoizm byłby w niej zmieknął, gdyby tak nie było—gdyby była „otrzymała dziecinkę przez Boga.“ Matka musi z konieczności, z nieuniknionego nakazu natury poświęcać się,

trudzić się dla dziecka, przechodzić dla niego przez ofiary, macierzyństwo jest też dla kobiety szkołą miłości, wydobywa jej z serca złożone tam przez Boga ziarenka uczucia: ogrzewa, rozkłada, — i prezesowa, myśląc o domniemanych dzieciach Wandy, uczyła w sobie jakieś wzruszenie natury kobiecej, nieznane jej dotąd.

— Nie... to się tak skończyć nie może!... — powtórzyła też, tylko już z innego nieco tonu. W tej chwili nie myślała, że Kalinowa jest wielką, piękną wsią, z wielkimi, starymi lasami, rozległymi łąkami, rybnymi stawami, że jego właściciel jest elegancki, wytworny pan, który mało z kim w okolicy żyć raczy; w tej chwili wystawiła sobie tylko Wandę już postanowioną: gospodynią w domu własnym. Naturalnie ona zapisze jej wszystko — jej i jej dzieciom, a wymowa to sobie jeszcze przed ślubem, aby do niej przyjeżdżano co niedziela na obiad i zawsze z całym domem, ze wszystkimi temi dziećmi. Niemal już nie zaczęła dysponować w myśli, co na tych obiadach bywać będzie, ale program wesela układała już nie na żarty. Poprosi tylko śmietankę okolicy; we wszystkich pokojach trzeba będzie dać nowe obicia i może zmienić meble w salonie, aby siostry i rodzice pana młodego widzieli przecież, że nie żeni się z byle kim.

Wśród tych projektów i zamysłów, o których spełnieniu despotyczna kobieta nie wątpiła nawet na chwilę, przeszła jej część krótkiej czerwcowej nocy. Świtać zaczynało, gdy powiedziała sobie, że niema co myśleć o rzeczy, która ostatecznie musi się skończyć tak, jak chce, ale gdy, odwracając się na drugą stronę poduszki, zamknęła oczy, przystąpiło do niej nagle wspomnienie tych zimnych ust Wandy, których chłód zdawała się jeszcze czuć na ręce i niespokojne jakieś wzruszenie znów ją przeszło. — Głupstwo... rzekła sobie przecież — zdrowa jest i silna, nie chorowała nigdy, prócz na krosty, które przechodzą wszystkie dzieci, nie zachoruje też i teraz...

Ze posłuszeństwo Wandy może się wyczerpać, że są granice, poza którymi obowiązki jego ustają, nawet dla dzieci rodzonych, nie pomyślała ani razu. A gdyby nawet przyszło jej to na myśl, byłaby ruszyła ramionami. — Cóżby robiła, gdzieby się podziela? byłaby rzekła sobie:

— Cała jej rodzina hołszy — bieda, że siekierą nie uciąć i nie chciałoby jej się tam iść, kur pilnować i może prażyć z dziewczkami.

Zatłumiła też w sobie to, co powtórnie głupstwem nazwała, i zasnęła wkrótce, spała mocno i dłużej, niż zwykle. Gdy otworzywszy oczy, spostrzegła po słońcu, że już jest około godziny ósmej, zerwała się żywo z łóżka i, nie dzwoniąc na pokojówkę, odziewała się sama. — Zasnęłam przez te romansowe sceny — myślała niezadowolona. Trzeba jej było obliczyć się z pachciarzem, jeszcze przed pojechaniem do kościoła, gdzie spodziewała się zobaczyć p. Romana. Jeżeli zaś nie — jeżeli markotny nie będzie się chciał narażać na spotkanie z Wandą, to ona musi napisać do niego. Musi napisać zaraz, natychmiast, gdy wróci do domu. Jeszcze raz przepowiedziała sobie w pamięci wczoraj ułożony schmat listu i przeszła z sypialnego pokoju, prosto do jadalnego, gdzie spodziewała się już zastać czekające ją śniadanie i synowicę.

Stół do śniadania był też rzeczywiście już nakryty, i kawę wniesiono natychmiast, gdy się ukazała. Wnosił ją stary Jan, ale jakiś zmieszany, przerażony.

— Gdzie p. Wanda... — zapytała prezesowa głosem surowym. Gniewała ją to, że synowica nie stała na zwykłym swym posterunku. Powinna była tu być, rękę jej pocałować na dzień dobry i zająć się nalewaniem kawy. — A... pomyślała gniewna kobieta — teraz zaczynają się dasy, może migreny i spazmy...

— Gdzie p. Wanda? — zapytała powtórnie Jana, który patrzył na nią smutnymi i zaleknietymi oczyma.

— P. Wandy niema... — odparł powoli — pojechała?

— Gdzie? — zawołała prezesowa gromko — gdzie?

— Gadałże prędzej, stary niedołęgo — krzy-

knęła, unosząc się gwałtownie, bo coś jej zaczęło chodzić koło serca, coś bolesnego, straszącego mimowoli. Natura ta twarda nie chciała się poddać myśli, że stało się coś... coś ciężkiego, i ratowała się tym gniewem, wywartym na człowieka, którego strapione oblicze budziło w niej trwogę. Ona jej przypuścić do siebie nie chciała.

— Nie wiem... — odparł Jan smutnie. — Pojechała gdzieś rano... ledwie wstał. Przyszła, pocałowała mnie w głowę i dała list. Iwaś mówił, że i z nim tak się żegnała, gdy jej konia osiodłał, jakgdyby jechała w jakąś drogę. Rzekła mu tak, jak i mnie: — Bądź zdrow... niech ci Bóg szczęści... Dziękuję ci za twoją dobrą służbę i pracę dla mnie... Bądź zdrow...

Prezesowa blada, jakgdyby ujrzała ducha, stała, słuchając spokojnie; oczy jej były szeroko otwarte, zbielełe usta drżały, lecz stała spokojnie, słuchała...

— Mnie jeszcze pocałowała w głowę — kończył Jan — kiedyś się do jej ręki schylił, objęła ją oburącz i pocałowała...

— Całowała nawet psy, bo przyszyły jej się łaśnić na dzień dobry. — Bądź zdrow Rozbój... bądź zdrowa Śpiewko... — mówiła i całowała...

— A ocierała przytem oczy... — dodał stary, czyniąc to samo.

— Kiedy była malutka, spuszczała je zawsze z łańcucha, użalając się nad niemi, że obroza je boli, i psy też ją polubiły. Chciały lecieć za nią, ale im nie dała... Nie... nie... — powiedziała, klepiąc je po głowach — wam tu trzeba zostać...

Prezesowa trzymała się krawędzi stołu, lecz stała prosto, jak wryta w ziemię. Z początku nie zdawała się rozumieć słów słyszanych, ale osłupienie to z wolna przeszło. Siadła do stołu, odsunęła tackę z kawą i wzięła do ręki list, który leżał obok. Moment jakiś patrzyła na niego, pieczętki nie ruszając, bo może ręce odmawiały jej posłuszeństwa, ale silna kobieta umiała się tak zwyciężyć, jak chciała zwyciężać, podbijać wszystko dokoła. List był krótki i nie trzeba było długiego czasu, aby go przeczytać. Wanda dziękowała ciotce za wychowanie, dziękowała w słowach prostych, ale widocznie szczerych i przejętych pewnem uczuciem wdzięczności, której, jak to czuć było, nie kłamała. Charakter ciotki znała i wiedziała, że to, co czyni, czyni z chęci zapewnienia jej szczęścia, jakie pojmowała jedynie, więc też żegnała się z nią smutnie, nawet żałośnie i gdyby chodziło tu o nią samą, o nią wyłącznie, byłaby może uległa, aby nie ściągnąć na siebie jej gniewu i wyrzutów, że jest niewdzięczna. Wanda wiedziała aż nadto dobrze, że matki rodzone postępują tak nieraz z córkami, za które przecież oddałyby życie i wszystką krew swoją — postępują tak, pragnąc ich szczęścia, pojętego przez pryzmat własnych na życie poglądów.

Niejedna z nich nie da córce dochować wiary dalekimu, obawiając się dla niej starego panieństwa, samotnego, smutnego życia wśród ludzi i słabsze, albo może silniej przywiązane do tej matki, z którą są związane krwią i kością, z jej kości i krwi powstała, poddają się — dają szyję pod obrot bez tego kwiatu życia, który jest najwyższą i najpełniejszą jego szczęśliwością i rozkoszą — cicho, spokojnie w dziedzinie prawnego uczucia podzielanej miłości, która może wszystko ozdobić i wszystko nagrodzić: braki, biedę najcięższą i chleb suchy, kąt izdebki najlichszej.

Niejedna taka ofiara istnieje na świecie — niejedna taka pozbawiana szczęścia przynależnego każdej istocie ludzkiej, smutnie się obejrzy przy końcu życia na jego drogę, bez najsłodsze go rozkwitu serca przebyta, i Wanda tłumaczyła też sobie ciotkę, ale mimo to poddać się jej woli nie mogła. Tu nietylko jej własne serce byłoby poświęconem — tu jej wiarołomstwo byłoby zdradą nietylko kochanego człowieka, ale obowiązku najwyższej, najświętszej powinności i pisała to ciotce: — „Nie mogę ci być posłuszną, ciotko... nie mogę, nie już ze względu na własną dółę, na głos własnego serca. Obowiązek, którego podeptać mi nie wolno, nakazuje postąpić tak pod karą bardzo ciężkiego przewinienia, którego nie mogę — nie chcę wziąć na moją duszę. Serce mi

się krwawi, ale konieczność zmusza; lecz czyż idąc za mąż nie opuściłabym cię poniekąd taksamo, i ja, zaślubiona przed Bogiem, jakkolwiek jeszcze nie u stóp ołtarza, idę za głosem powinności mojej i serca mego, odchodzę cię, ciotko — aby nie stać się kamieniem obrazy na drodze twojej, aby nie zatruwać ci życia jawnym buntem koniecznego nieposłuszeństwa.“

„Nie godzi mi się również kłamać przed człowiekiem, dla którego serce moje nie czuje nic, prócz żalu, że drogi nasze zeszły się ze sobą. Inaczej on byłby oszukanym, a ja — nieszczęśliwą!“

„Wczoraj, ciotko, żegnałam się z tobą i rozstawałam w duszy mojej, gdyśmy się rozchodziły — nie na noc jedną... Gdyś całowała rękę twoją, jakoby na dobranoc, dziękowałam ci tym pocałunkiem za twój chleb, który jadłam tak długo — za chleb, sól, dach, który osłaniał dzieciństwo sieroty... Przygarnełaś ją, a ona nie może teraz odplacić ci się za to, dając pociechę starości twojej; ale, jak są stopnie na tej drabinie Jakóbowej, po której duchy z niebios zstępują i do nieba dążą, tak są w życiu ludzkim stopnie obowiązków, i nie mogę łamać tego, który jest bardzo wysokim i bardzo świętym. Powstał z dwóch, razem złączonych nakazów wielkich, które rządzą ludzkością i stał się razem czemś takim — jak uczciwość...“

„Ciotko! piszącej to oczy zalewają się łzami, ale nie może ona być niewierną — nie może być nieuczciwą...“

Prezesowa, czytając bladła i ręce jej drżały, ale miała tyle siły, że złożyła papier we dwoje, że schowała go do koperty i potrafiła nalać sobie kawy, potrafiła ją pić. Jan patrzył na nią zalekniony, bo stała się nagle starszą o lat dziesięć, i zdawało się, że włosy zaczynają jej siwieć na głowie, że zmarszczki zaczynają się ryć na twarzy, okrawać się koło ust, i rysować bruzdy gniewu i smutku na czole.

Gdy skończyła śniadanie, wstała i zadała spokojnie pytanie: czy arendarz jest, czy czeka w kancelaryi? Ale nie było go i prezesowa kazała Janowi powiedzieć, gdzie należało, aby konie były gotowe na czas, bo nie chce się spóźnić do kościoła.

Ta despotyczna, absolutna, egoistyczna kobieta mówiła do swemu lokajowi, aby nie poznał, że serce rwie jej się w piersi. Wstydziała się tego, jak grzechu, jak winy, że może przez to serce cierpieć, ale żadna istota ludzka nie zdoła wyłamać się z pod tego prawa. Bóg stworzył człowieka do miłości i najbardziej — najsilniej samolubny człowiek, ulegając temu, musi — musi kochać coś na świecie, a choć będzie to miłość dla siebie i przez siebie uczuwana, jednak tworzy ona źródło, pokrzepiające życie, zaspakajające tego życia potrzebę konieczną. Ze egoista jest w miłości swej skąpy, że kocha, ulegając przemocy ludzkiej swej natury — że miłość jest osadzoną w jego sercu, jak w skale twardej, w której ciężko wyłabiła sobie miejsce, boleść przez tę miłość sprawiona, jest silniejszą i okrutniej żrącą, niż u ludzi, którzy zdolni są poczuć się do winy, jeżeli są winnymi, zdolni są przebaczyć i wyrozumieć, co łagodnego wyrozumienia potrzebuje. Tu zaś nic tego być nie może prócz żalu, prócz gorzkości, prócz uczucia krzywdy swojej i bólu rany poniesionej.

I stają się tacy ludzie okrutnie, okrutnie nieszczęśliwymi — nieszczęśliwymi bez żadnej pociechy, płynącej ze źródła uczuć tkliwych i wspaniałomyślnych. Im wyżej cenią sobie każdy swój dar serca i ofiarę, na korzyść ukochania swego uczynioną, tem wyższej żądają odpłaty, i miłość egoisty nie znosząca podziału, nie rozumiejąca ustępstwa, pragnie tak pochłonąć w całości przedmiot ukochany, że nic z niego, nawet dla niego samego oddać nie chce i niestety! dlatego właśnie najmniej miłości budzi. Wiktor Hugo rozalający się nad losem pokrzywy, dlatego, że jej nikt nie lubi, nikt się do niej przychylić nie chce, nie może, myślał o tych istotach egoistycznych — biednych ciężko, okrutnie i najwyższej liłości godnych!

Prezesowa liczyła się do takich — nieszczęśliwych! Czy mąż ją kochał?... Ludzie wiedzieli tylko, że jej się poddał. Czy nie było w życiu jego smutnych, bolesnych chwil tęsknoty, żalu za

przeszłością i tem, co mu dać mogła, gdyby był obrał sobie inną drogę życia—drewniany dworek z ogrodem w kwatery, a w nim słodką, łagodną istotę kobiety, miękko tulącą się do jego łona, patrzącą w jego oczy, czy jasno i wesoło na świat patrzą, czy w nich niema smętnego spojrzenia człowieka, dla którego życie jest długim, długim zawodem—żalem za omyłką popełnioną?

Byli tacy, co go żalowali, byli i tacy, co mu za zdrósili, patrząc na jego sługi i cugi, dwór i setki korcy przedawanego zboża.

A ona? ona czy nie pomyślała kiedy za jego życia i po jego zgonie, że ten człowiek, który jej ulegał we wszystkim, ten mąż, który żądał się zawsze jej woli i robił co chciała, nie kochał jej jednak tak, jak inni mężowie? Czy nie pomyślała tego kiedy, nie odczuła, gorzko i nie doznała bolesnego uczucia żalu, myśląc, że przecież brał ją młodą i ładną, że mu była całe życie wierną i dobrą gospodynią, oddaną domowi kobietą, a jednak inne żony były kochane inaczej... inaczej...

I teraz dotykała ją drugie nieszczęście, cięższe jeszcze, jeszcze okrutniejsze, bo już dowodzące jasno, że jej nikt, nikt kochać nie chce, czy nie może. Wychowała dziecko ubogie, osierocone—wychowała je tak starannie, tak troskliwie, nie szczędząc mu niczego, obdarzając je tak hojnie i to dziecko, dorosłszy, opuściło ją... Nie umiała kochać dobrze, szlachetnie, podniosłe—kochala źle, samolubnie, ze względem na siebie, ale kochała niemniej i—została na starość samotną!..

Dostawszy się do swego sypialnego pokoju; tam, gdzie jej już nie ściagał żaden wzrok ludzki, gdzie mogła nakoniec odrzucić na bok palącą maskę udawania, jęknęła.—O niewdzięczna! niewdzięczna dziewczyno! — zawołała z goryczą i zapłakała...

Żyły były u niej rzeczą rzadką, płynęły też z oczu jej boleśniej, niżby to była krew z rozciętej ciężko rany i usta powtórzyły z jękiem, któremu tylko najwyższym wysiłkiem woli nie dała stać się łkanem.—Niewdzięczna...

O! poeta miał słusność za sobą, wołając: — „Ach, jak mi żal pokrzywy!“...

(Dalszy ciąg nastąpi)

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Marca 1888 r.

Kaznodzieje wielkopostni.—Kazalnica a wierni. — Życie w kościele i poza kościołem. — Paryżcy poganie i wiara. — Koniec zimy i powrót do lepszych czasów. — *Alleluja!* — Polityka i skandale. — Śmierć cesarza niemieckiego. — Nieporozumienia z Włochami. — Traktat handlowy. — Zerwanie. — Jeszcze sprawa Wilsona — Rozgrzeszenie w trybunale apellacyjnym. — Jeszcze Bullanżerówka. — Dymissya generała. — Upadek ministerium a. — Początek końca a. — „Wolny Teatr.“ — Sprzedaż zpod młotką sprzętów po Maryi Régnault. — Skandal. — Śmierć p. Nisarda. — Szczegół z życia uczonego — Nowy świat i nowa powieść historyczna: „Księżniczka Indyjska.“

(Dokończenie).

Co do drugiej sprawy „dzielnego generała“ — jak go tu nazywają teraz pogardliwie nieprzyjaciele jego, z powodu, że znowu na ulicy ozwało się sławne: „Boulangel!... l'ange, l'ange, l'ange!“ a więc, dalejże hurra! na przyszłego dyktatora. Zjawily się więc nowe ostrzeżenia, nowe odkrycia — odebrano mu komendę XIII korpusu armii (Clermont-Ferrand), a ztąd zawierucha, gwałtowne rozprawy w Izbie Deputowanych — słowem: manifestacje, wróżba najgroźniejszych następstw dla bezpieczeństwa Rzplitej ze strony tego *pretendent*a — pozbawionego przecież, według tychże samych przeciwników jego, wszelkich zdolności, zasług i przymiotów!...

Cóż więc czyni go tak dalece niebezpiecznym? czy ta szajka pięciu lub sześciu indywiduów na których czele znajduje Rochefort — nie z miłości

dla generała — nie, ale wskutek tego, że ten ślepiennik musi ciągle macić w brudnej wodzie, i kąsać kogoś za łydki... Czy ta banda kilkuset uliczników, wrzeszcząca sławną zwrotkę: „Bou-l'ange!... l'ange... l'ange!“

A jeśli ni to, ni owo, — cóż więc tak ich przstrasza?... Ich, znaczy tu rząd oportunistów — że mu dali nakoniec dymissyę z wojska *ex officio*. Powiadają jedni, że to się stało pod naciskiem wywartym z Berlina, w celu pozbycia się człowieka, co śmiał niby jawnie podnieść sztandar odwetu. Wątpię, aby się tem zaprzatano w tej chwili w Berlinie, co tu nawet byłoby uszło bez żadnego rozgłosu, gdyby nie głupota powszechna. Cóż więc jest w gruncie? Oto najprawdopodobniej zemsta Orleanistów, za owo sławne prawo, o wydaleniu książąt z wojska i z Francji. Stało się to, jak wiecie, za ministrowania Boulanger'a w oddziale wojskowości, i jak powiadają, — z jego osobistego poczatowania.

Jakkolwiekby, wszystko pogrążyło się w tę zawieruchę domową; dymissyonowany staje na czele nowej partii, rozpoczyna się wyborcze sejmiki, agitacje; hasło jest: wywrócenie parlamentu i rządu. Ale czy generał z *café-chantant* będzie miał dość odwagi i siły, aby wykonać nowy 18 Brumaire'a — otem szeroko pisał król Dawid.

Czyżby doprawdy tak się stało, iż tu mamy: „początek końca“ według słów Talleyranda. Generał Boulanger prawie wypędzony ze służby — tak mu gwałtownie dano dymissyę — stanął na czele stronnictwa, którego hasłem jest: rewizya konstytucyi i zmiana rządu?... czy ministerium? Nie rozpatrzono się jeszcze w położeniu — aż tu nagle w Piątek — w Wielki Piątek — propozycja złożona u laski marszałkowskiej, poddana natychrazprowie Izby — otrzymuje większość 30 głosów, przeciw ministerium, które *ipso facto*, jest wywrócone... Ten wypadek, przy usposobieniu, jakie tu panuje, może nas zaprowadzić daleko. I dlatego się pytam: czyżby to miał być naprawdę: „Początek końca?“

Jak to musi cieszyć biednego, chorego k.s. Bismarcka, który nie siadając na koń — wygrywa większą bitwę, niż wszelkie bitwy *de facto*!

Dowiedziona jest rzeczą, że tutaj po uzyskaniu i wyzyskaniu jakiegos przywileju, najmiłszą uciechą dla każdego Francuza jest opozycya przeciw wszelkim przywilejom. Wychodząc z tego punktu zapatrywania się nie było rzeczy, którejby nie wymyślono w celu zwaleniia uprzywilejowanych i subwencyonowanych teatrów.

Po wielu a wielu piórach, skruszonych w tej artystyczno-literackiej szermierce, przyszło do tego: że *Teatr Wolny* — niepodległy, otwarty dla każdego i dla wszystkich, a szczególnie dla autorów „nieznanych“ — stał się najwyższym ideałem ludzi, dla których próżne poszukiwanie wiecznie nieobecnej w kieszeni pięciofrankówki było głównem zagadnieniem całego życia.

Znalazł się na bruku paryżkim człowiek, a na imię mu było „Antoni“ — dawniejszy aktor, czło-wiek rzemiosła, ale goły, jak turecki święty. Powiedział on sobie i innym poszukiwaczom tej idealnej pięciofrankówki: „Eureka“. Założmy teatr! narobimy tyle i takiego hałasu, że Paryżanie muszą powiedzieć sobie: bardzo tam coś huczno, pójdźmy też zobaczyć, co się tam dzieje? A żeby zobaczyć, trzeba zapłacić, a więc!...

Gdy mowa o „Wolnym Teatrze“, pozwólcie jeszcze słów kilka, bo to prawdziwy symptomat, i niewiadomo do czego przyjść może.... A więc — wystąpili Francuzi z naturalizmem, we fraku, w ząbatach i w lakierowanych bottin-kach. Było ich czterech autorów, czterech *zaprzańców z Medanu*. Są to dawniejsi uczniowie mistrza Zoli, którzy się go haniebnie zaparli w sławnym manifestie, ogłoszonym niedawno *urbi et orbi*. Ci czterej — dawniej było ich pięciu, są p.p. Bonnetain, Descaves, Margueritte i Guichés. Dwaj pierwsi złożyli się na sztukę pod tytułem: *Kłębek* (*La Pelote*), p. Margueritte dał: *Pierota zabójcę*, a p.p. Guichés i Loredan *kwadrans*.

O „Kłębku“ jedno tylko mogę powiedzieć. Jest

on tak nadnaturalnie naturalny, iż go tu analizować nie śmiem. Dosyć: jest to stary jegomość, zamożny i zepsuty, umiera z rozpusty, na rękach służącej i jej synowicy, które się nad nim okropnie znęcają. Oprócz nieprzyzwoitości przedmiotu są tu jeszcze nieprzyzwoitości wyrażen, i wszystko, czego tylko można się spodziewać od ludzi naturalnych. Możnaaby sprawiedliwie dać za tytuł tej sztuce: „Szkoła dla służącej u starego jegomości.“

O „Pierrocie“ jedno tylko jest zdanie, że co do nieprzyzwoitości, ale to razą mimicznej, przechodzi ta sztuka wszelkie wybryki, jest to już zepsucie ucywilizowane.

Co do „kwadransów“, jest ich dwa. Pierwszy, p. Guichés'a „Na zaręczynach“, przedstawia nam miłosne zwierzenia dwojga zaręczonych. Pan młody, suchotnik w ostatnim stopniu, wypłuka resztę płuc na scenie i ledwie się trzyma na nogach, za to panna młoda, zdrowa i hoża, opowiada mu o tem, co pocnie, gdy zostanie wdową. Rodzice, przytomni tej lubej rozmowie, rodzice panny, zmuszają prawie nieszczęśliwego narzeczonego, aby wsiadł na koń i do reszty się dobił! Drugi „kwadrans“ p. Loredana: „Pomiędzy bracią“ przedstawia nam ostatnie chwile (wszystko wesołe rzeczy), pani margrabiny de Guébriand, umierającej na scenie ze czkawką śmiertelną i grającymiorgankami, jak powiadają u nas, wśród butelek i buteleczek i całej apteki. Ten p. Loredan jest synem znanego publicysty, który się podpisuje „Filip de Grandlieu.“

Czy to ma być teatr przyszłości? Idźmy natychmiast gdzieindziej i nie wracajmy już więcej. Przyjdą tu kiedyś wnukowie nasi.

Tak — wszystko, co może obudzić ciekawość, zastrzyć, popchnąć ją do ostatnich granic niedyskrecyi i wyuzdania; wszystko, co może stworzyć najbrudniejszy skandal: najmiłsza to strawa i potrawa dla tutejszych ludzi. Jeszcze jeden przykład. W tych dniach sprzedawano zpod młotka meble, sprzęty, kosztowności i odzienie sławnej hetairy, zamordowanej tak okrutnie przez Pranziniego. Pomimo rozdanych biletów, pomimo uprzywilejowanych wejść, pomimo obszerności lokalu publicznych sprzedaży, ścisk był tak wielki, że wiele pań — i to z najlepszego świata — wyniesiono omdłych, zaduszonych prawie, a że się nie poduszono setkami, zawdzięczać to należy jedynie energicznemu wdaniu się policyi...

Zachodzi pytanie: czego tu szukała ta najdosłojniejsza gawiedź? Czy arcy - pięknych dzieł sztuki? czy tkliwych, serdecznych i drogich pamiątek? — nie — bo sprzęty i kosztowności Maryi Régnault były zwykłym zbiorem rupieci, takiej nieporządnickiej, co się dorobiła fortuny. Czegóż tu więc szukano? Oto, tych śladów i jakby woni nierządu i zbrodni, za którymi przepada ta choro-bliwa ciekawość i, aby je zdobyć, idzie przebojem, choćby przyszło życiem przypłacić, wśród zapamiętałego tłumu. Jest to charakterystyczne znamię naszej epoki przesytu, która szuka czegoś — czego? Nikt tego wyrazić nie może, ale jej piętno znajdziemy wszędzie: w literaturze, w sztuce, w nauce nawet; ta ostatnia dała nam próbki swoich dociekań, w takich kierunkach, o których lepiej zamilczeć... Ale dosyć.

W Niedzielę rano d. 25 Marca w San-Remo — (zawsze to San-Remo, tak nam pamiętne ostatnimi chwilami życia Kraszewskiego), zagasł — a jest to najprawdziwsze wyrażenie tej śmierci — w osmdziesiątym trzecim roku życia, jeden z najznakomitszych profesorów i pisarzy francuzkich: Dezydery Nisard. Rzecz rzadka, wytwor-ny stylistą, pisarz nieposzlakowanej czystości, był on zarazem doskonałym i porywającym mówcą. Całe to długie życie było poświęcone pracy literackiej; bo rozpoczął ją w chwili prawie, gdy opuszczał szkolne ławy u Świętej Barbary (*Institution de Sainte Barbe*), w Debatach z piórem dziennikarza w rękę, zkad, po pięcio-letnim nowicyacie, przeszedł do Narodowca — (National) pod Carelem.

Ale dziennikarskie zajęcia nie tamują mu wcale pracy literackiej. W tym bowiem czasie ukazuje się pierwsze ważne jego dzieło: *Poeci łacińscy z czasów upadku* (*Les poètes latins de la*

décadence). Mimo powagi przedmiotu przenika je wskroś jakiś młody gorący zapal. Styl jasny, jędrny, obrazowy, z odcieniem ironii i sprytu, staje się powodem, że dzieło to dziś jeszcze, po tylu a tylu pracach znakomitego profesora, jest koroną jego literackich zasług.

Za Guizota Nisard przechodził rozmaite stopnie naukowej hierarchii: korrepetytora (Maitre de Conférences) w Szkole Normalnej, sekretarza ministerium oświecenia, (Maitre de Requêtes), referendarza w radzie stanu i nakoniec naczelnika nauk i literatury (Chef de division des sciences et des lettres). W 1842 r., wybrany posłem z Châtillon sur Seine, zasiadł w Izbie Deputowanych, gdzie pozostał aż do Rewolucji 1848 r.

Mianowany następcą Burnouffa, jako professor wymowy w Kolegium Francuzkiem, pomimo tych urzędów Nisard nie rzuca pióra literackiego, i działalność swą zaznacza wydaniem historii miasta Nîmes. Był to początek wydawnictwa, mającego objąć wszystkie ważniejsze miasta Francji, zaczynając od Burgundii, rodzinnej ziemi autora. Zamiar ten nie przyszedł jednak do skutku; za to ukazały się rychło: tłumaczenie rozprawy Erazma z Rotterdamu „Pochwała obłądu“, z doskonałym i wyczerpującym studium życia uczonego Erazma; historia literatury francuskiej, (rozszerzenie dawniejszego skrócenia), i nakoniec olbrzymi zbiór klasyków łacińskich z tłumaczeniem francuzkiem, znany w literaturze pod imieniem Zbioru Nisarda—dzieło pięknej i wielkiej zasługi, jako dokładność tłumaczenia i czystość języka.

W 1850 r. wybrany do Akademii Francuskiej we współzawodnictwie z Alfredem de Musset, jest Nisard jednym z najwybitniejszych jej członków tej instytucji. Ówczesny prezydent, ks. Ludwik Napoleon Bonaparte mianował go inspektorem generalnym nauk wyższego stopnia, sekretarzem rady oświaty publicznej, kommandorem legii honorowej i nakoniec professorem wymowy francuskiej w Sorbonnie, jako następcę po Villemain'ie.

Tu w 1856 r. zwolennicy Orleanizmu, organizując opozycję przeciw Bonapartystom, chcieli mu zamknąć usta i zmusić go do opuszczenia katedry fakultetu literackiego zapomocą burzliwych demonstracji podszezwanych ku temu studentów. Udało się im to, co do Sainte-Beuve'a, byli więc prawie pewni powodzenia co do Nisarda.

Chwytając zatem w lot pierwszy lepszy powód do wrzawy, wystąpili z krzykiem i gwałtem na początku lekcji. Nisard nie zmieszał się bynajmniej, stawiał z pokojem czoło manifestującym się słuchaczom, a przyszedłszy do głosu, powiedział te pamiętne słowa: „Panowie! jesteśmy tu sobie wzajemnie nieznani, (większa część manifestujących byli to ludzie zwierbowani poza szkolnemi murami), ale bądźcie pewni, że niema ani jednego pomiędzy wami, z którym chciałbym się pomienić na sumienie!“ To śmiałe wystąpienie uciszyło wrzawę, a po rozmaitych przejściach, w których Nisard potrafił zawsze utrzymać swą godność profesora i człowieka, prowadził dalej bez przerwy, aż do 1858 r., świetne swoje wykłady.

Od lat kilku, to jest od czasu, gdy rząd Rzeczypospolitej usunął go z dyrekcyi szkoły normalnej, Nisard oddał się całkiem przygotowaniu swoich pamiętników i pracom w Akademii Francuskiej. Dotknięty anemią i chorobą piersiową, w ostatnich czasach osiadł stale w San-Remo, w pięknej własnej willi na Corso di Levante, gdzie też zgasł, otoczony dziećmi i rodziną, przyjąwszy ostatnie posługi religii, przyniesione mu przez ks. Huvelina, jednego z dawnych uczniów, a dziś wikaryusza przy kościele Ś-go Augustyna w Paryżu.

W testamentcie swoim rozporządził co następuje: „Jest to moja wola, aby żadna deputacja od zgromadzenia lub towarzystwa, których byłem członkiem, żadna wojskowa eskorta, nie były używane, aby towarzyszyć memu pogrzebowi. Zapewne, jest to zwyczaj bardzo szanowny, ale długie doświadczenie nauczyło mnie, iż oso-

by wzywane na tego rodzaju obchody, ponoszą więcej niedogodności, niż to przynosi trwałego zaszczytu zmarłemu. Pragnę więc, aby za moją trumną szła jedynie moja rodzina i przyjaciele, którzy zechcą mi towarzyszyć do mej ostatniej siedziby i wyrazić mi ostatnie pożegnanie sercem, a nie ustami.“

Według tej woli we Środę d. 28 Marca odprawiono exekwie za dusze zmarłego w kościele Ś-go Sulpicyusza, ze skromnością, jakiej nieboszczyk sam żądał; nie było żadnych zaprosin, nikt nie zabrał głosu, za skromnym konduktem szła rodzina i przyjaciele, jakie sto osób, ale żal ich prawdziwy starczył za tysiące.

Mówiąc o śmierci uczonego i wymownego człowieka, nie mogę zapomnieć jednej z jego najpiękniejszych, jak tu nazywają, konferencyi. Wysłuchałem jej kilka lat temu z niesłychanym zajęciem i przechowałem jej pamięć żywą. Był to wspaniały odczyt Nisarda: „O cywilizacji narodów amerykańskich, przed odkryciem Ameryki.“ Czemuż nie mogę powtórzyć wam tych świetnych obrazów, mistrzowską kreślonych ręką? Wymowny professor rozwinął wówczas przed nami pełen życia i zapalu, cudowną i zachwycającą całość jakby zaczarowanego świata. Ale któż zdołałby to powtórzyć? Był to jakby ów śpiew łabędzi tego wielkiego talentu. A dziś, kiedy te wymowne usta śmierć zamknęła na wieki, niech mi wolno będzie oddać mu to słowo uznania, z powodu książki będącej jakby dalekiem echem jego genialnych poglądów.

Wszystko, cokolwiek się tyczy życia i cywilizacji narodów, które osiedlały środkową i południową Amerykę przed odkryciem Krzysztofa Kolumba i jego następców—jest to, ile mi wiadomo—*terra ignota* dla nas. Mało, albo nie wcale, nie pisano u nas w tym przedmiocie, a przecież są to rzeczy ważne i nader ciekawe. Tu, we Francji, zwrócono na ten przedmiot uwagę dopiero przed laty kilkunastu. Pisano wiele, mówiono więcej jeszcze—słowem: przyszło do tego, że założono kilka towarzystw uczonych, tak zwanych amerykańskich. Ale towarzystwa te mają za cel główny poszukiwania jedynie we względzie lingwistyki tych narodów.

Ważna to jest rzecz zapewne zbadać języki, któremi się niegdyś posługiwały ludy dziś już prawie do ostatka wytępione. Ale równie ważnem, a ciekawszem i bardziej zajmującym dla ogółu, jest zbadanie cywilizacji tych ludów—której ślady pozostały w pamiętnikach ich budownictwa, rzeźby, ceramiki, i wszelkiego rodzaju wyrobów, kwitnącego w nich przemysłu. Oprócz pomników mamy jeszcze podania, spisane często ze słów i opowiadań tuziemców, przez Hiszpanów, po większej części Misjonarzy współczesnych odkryciu Ameryki, lub żyjących blisko tych czasów—a więc naocznych świadków.

Opierając się na tych szacownych tradycjach, na opowiadaniach współczesnych pisarzy: Terquemady, Veytia, Clavigeria a szczególnie Sahaguna, p. Dezydery Charnay, który sam zwiedził podwakroć dawne państwo Inkasów i półwysep Yukatanu i wydał już był wspaniałe dzieło, pod tytułem: „Stare miasta nowego świata—podróż do Meksyku i Środkowej Ameryki w r. 1867 i 1882“—z 214 rycinami na stali i z 19 kartami geograficznymi, ogłosił właśnie w tej chwili bardzo przystępną, bardzo zajmującą książkę. Celem autora jest rozpowszechnienie wiadomości o cywilizacji narodu, który w czasach odkrycia Ameryki zamieszkiwał półwysep Yukatanu.

Książka ta ma tytuł: *Księżniczka indyjska przed podbojem*. Jest to powieść historyczna, opiewająca wypadki, jakie zaszły na półwyspie Yukatanu w chwili pierwszego pojawienia się wypraw hiszpańskiej, pod wodzą Fernanda Kortezo, na tych wybrzeżach. Powieść to o miłości i losach Hiszpana Guerrero, który się dostał do niewoli i był pierwszym z Białych, jakich ujrzały te ludy indyjskie—i księżniczki indyjskiej Kuzam. Ale ten romans jest to jedynie tylko nieprzewodnia, dla utrzymania zajęcia i porządnego ciągu w powiadaniu autora; o tem więc zamilczę.

Według spostrzeżeń p. Charnay'a i opowiadań

historyków—cywilizacja tych ludów była posunięta wysoko w pewnym względzie i posługiwała się wszelkimi zasobami, jakie intelligencja ludzka zdolna jest stworzyć dla potrzeb i wymagań naszego umysłu.

W tym ogromie pierwotnych ludności, zaludniających niegdyś Amerykę a dziś wypłenianych coraz bardziej, p. Charnay, zgodnie z historycznymi źródłami i z tem, co okazały nowe w tej mierze badania—dostrzega pewne systematyczne następstwo wędrujących ras i plemion, które się tłoczyły, jak zwykle, z północy na południe Ameryki—i których ostatniem koczowiskiem były, z jednej strony, Yukatan, a z drugiej Peru i Chili.

W Yukatanie, według p. Charnaya, osiedli ostatni Toltekowie, wyparci z Meksyku przez Azteków. Ci Toltekowie, jedni z pierwszych zdobywców Środkowej Ameryki, posiadali wysoko rozwiniętą cywilizację. Torquemada mówi o nich jako o narodzie oświeconym i mądrym. Oni to, jako lud rolniczy, znali już kukurudzę, bawełnę, jarzyny i t. p.; oni rozpowszechniali uprawę roli; wytapiali z rud złoto i srebro; umieli i rznąć i oprawiać drogie kamienie; wielcy architekci i mechanicy, zakładali wielkie miasta, budowali wspaniałe pomniki, świątynie, pałace.

Im się należy ustanowienie bardzo regularnego kalendarza. Rok ich dzielił się na 18 miesięcy, mających po 20 dni; do tych w końcu roku dodawano 5 dni uzupełniających ogólną liczbą 365 dni całego roku. Co lat cztery dodawano jeszcze dni 6, dla zrównania lat przestępnych. Systemat więc tego rachunku był prosty i bardzo mądrze obmyślony; każde 13 lat takich stanowiły epokę, zwaną i oznaczoną węzłem—cztery takie węzły stanowiły wiek, zawierający 52 lata i noszący nazwę: „Zbioru“ czyli „Summy węzłów.“

Ci Toltekowie zbudowali niegdyś, na stałym lądzie Ameryki, ogromną liczbę miast, kwitnących bogactwem i pracą. Najslawniejsze z nich było miasto znane pod imieniem *Tuta*—stolica państwa. Rząd był teokratyczny—samowładny. W miastach piętrzyły się, jedne nad drugimi, świątynie rozmaitych bóstw opiekuńczych, i równie jak pałace, odznaczały się niezmiernym przepychem bogactw i ozdób; mieszkania ludu były skromne, ale zamożne i czyste.

W książce p. Charnay wszystko zajmuje umysł i nauca. Autor w opisach swoich jest wiernym opowiadaczem tego, co widział. Część odnosząca się do życia, zwyczajów i obyczajów starych Tolteków, opiera się, jak mówiłem, na podaniach naszych świadków z czasów odkrycia. Obrzędy, modlitwy i szczegóły historyczne wzięte są również z pisarzy współczesnych podbiciu Ameryki. Książka czyta się tak łatwo, jak powieść. Niezmiernie zręczni w tym rodzaju, Francuzi umieją to urządzić, w najprzystępniejszy sposób. Oddając pochwałę tej książce, przekonany jestem, że zarazem oddaję przysługę czytelnikom moim, którzy znajdą w niej prawdziwy pożytek, połączone z przyjemnością.

## Z DZIAŁU PRZYRODY

### Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Trzęsienia ziemi.—Narcoza.—La couveuse d'enfants.—Bacillus Indya.—Doryphora decemlineata.—Zgęszczenie mleka i nafty. Palczak (Aye—Aye).

(Dokończenie.)

Chemik francuski Alvarez złożył swe odkrycie Akademii Francuskiej, mianowicie, że farbnik indyga nie istnieje w roślinie tegoż nazwiska, lecz jest wytworem następczym, fermentacyjnym, przychodzącym do skutku za pośrednictwem ba-

cillusa swoistego. Doświadczenia swoje prowadził w sposób następujący: Umieszczał kilka liści rośliny indygo w naczyniu z wodą; już po upływie 12-tu do 24-ch godzin występowało na powierzchni wody niebieskie zabarwienie w postaci banieczek, przyczem temperatura wody podnosi się i wydziela się gaz. Rozdzierał taką banieczkę, z której wydzielał się osad indygo, poczem powstawała nowa banieczka. Przekonał się w ten sposób, że niebieska barwa wytwarza się tylko na powierzchni wody, a więc w zetknięciu z powietrzem. Badając taką banieczkę pod mikroskopem znalazł w niej wielką ilość bakterii otoczonych kryształkami indyga. Posiadają one kształt łaseczek, jak wogóle wszystkie bacillusy, i podobne są do tych, które wywołują zapalenie płuc i równie szkodliwie działają na organizm. Żwierzęta, a mianowicie świnki morskie, którym zaszczerpiano owe bacillusy, zdychały w niedługim czasie; odwrotnie bacillusy zapalają płuc są w stanie wywoływać zabarwienie niebieskie. A więc ostrożnie z farbą indygową!

\* \* \*

W Niemczech, kraju kartofli i piwa, jak go tytułują, pokazał się niszczyciel tych pierwszych, w postaci owadu, zwanego *Doryphora*. Straszny ten owad (*Doryphora decemlineata*), największy ze znanych nieprzyjaciół kartofli pochodzi z Ameryki. W roku 1861 pojawił się po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych, gdzie szerzył straszne zniszczenie.

Każde pole, gdzie się rozwija *Doryphora*, jest straconem.

Owad ten jest niesłychanie płodnym. Lęgnie się trzy razy do roku, za każdym razem znosi około 12,000 jajek. Wylęgłe poczwarki tak prędko się rozwijają, że odradzają się już po 50 dniach. Jest to owad szybko wędrujący i znosi dobrze zarówno zimno, jak i upał.

Przedsiębrano wszelkie możliwe ostrożności, aby go nieprzewieźć do Europy, pomimo to jednakże dostał do nas na okrętach.

Wszelkie sposoby próbowane dla wytopienia *Doryphory*, jak dotąd, okazały się bezowocnymi.

\* \* \*

W Szwajcarii w wiosce Cham, blisko Zugu, poczęto wyrabiać mleko zgęszczone, czyli, jakby je inaczej nazwać można, *konserwę z mleka*. Zgęszczają go codziennie około 60.000 litrów, pochodzącego od 8.000 krów. Uskutecznia się to w następujący sposób: świeże mleko wlewa do zbiornika z jedwabnym filtrem, przyczem waga mleka jest markowana odpowiednim przyrządem. Zgęszczone mleko przez filtr, skutkiem utraty wody, wlewa się do kotłów miedzianych ogrzanych do 35 stopni zapomocą pary, następnie, po rozpuszczeniu w  $\frac{1}{8}$  części wagi mleka, cukru trzcinowego, płyn przepływa automatycznie do kotłów w których pod działaniem 52 stopni gorąca i pod ciśnieniem 10 centymetrów rtęci gotuje się, wyparowuje i gęstnieje. Skutkiem tych processów składowe części mleka, jako, to: tłuszcz, sernik i inne nie ulegają najmniejszej zmianie. Po kilkogodzinem gotowaniu (około 3-ch godzin) zawartość kotła zmniejsza się do  $\frac{1}{3}$  pierwotnej objętości i przybiera stan pół płynny. Masa w ten sposób otrzymana przechodzi do walców ochładzanych bezustannie wodą. W ten sposób otrzymane mleko oddaniem zostaje do warsztatów, gdzie je układają w pudełka metalowe.

Gdy chodzi o miejscową wyłącznie konsumpcję mleka, lub w kraju, gdzie go jest wielka ilość sposób konserwowania go jest zbyt bezużytecznym, lecz na export dla krajów niemających dostatecznej ilości nabiału, sposób ten okazał się wielce praktycznym.

W Ameryce już od dawnego czasu przedsiębrano próby zgęszczenia nafty; w tym stanie bowiem przewóz jej byłby daleko łatwiejszym. W tym celu poddawano ją gotowaniu z mydłem, skutkiem czego powstawała twarda masa, lecz trudno palna.

D-rowsi Kaufmanowi udało się usunąć tę niedokładność. Gotuje on 100 części nafty z 3-ma częściami mydła zwyczajnego. Już po półgodzinem gotowaniu mydło rozpuszcza się najzupełniej, a nafta stygnąc, przechodzi w stan stały, konsystencji łożu. Pokrajana w niewielkie cegiełki, zapala się z trudnością, rozpaliwszy się jednakże płonie powoli, bez dymu i pozostawia osadu bezwonnego, czarnego około 20 procent. Pali się, w porównaniu z węglem kamiennym trzy razy wolniej, lecz stosunkowo wydaje więcej ciepła; można taką naftą doskonale ogrzewać zwyczajne piece i kuchnie angielskie.

\* \* \*

Zoologiczny Hamburski ogród otrzymał niezmiernie ciekawy okaz zwierzęcia zwany Palczakiem, albo Aye Aye, jest to bez zaprzeczenia jedno z najbardziej zaciekawiających stworzeń, jakie przywieziono do Europy. Odkryte zostało przez Sonnerata w roku 1782 na Madagaskarze, i nazwane Aye-Aye od krzyków, które wydawali mieszkańcy na widok tego szczególnego stworzenia. Należy do ssących, szczurowatych i nosi nazwę *Cheiromys Cuv.* a znanym jest tylko jeden gatunek: *Cheiromys Madagascariensis Cuv.* Niektórzy zaliczają go do małpozwierzy. Jest to zwierzę nocne, zamieszkuje gęste lasy bambusowe. Wielkość nie przekracza rozmiarów małego kota: korpus dźwiga na krótkiej szyi wielką głowę, pysk jest bardzo w górę wzniesiony, oczy, jak u wszystkich nocnych, są bardzo wielkie, rozszerzona żrenica, i spoglądają na świat z wyrazem wielkiego zdziwienia. Po obu stronach głowy znajdują się niezmiernie wielkie uszy, które nadają Palczakowi i bardzo charakterystyczny wygląd. Skóra pokryta jest gęstym, grubym włosem. Najlepiej rozwinięte i uzbrojone są palce rąk, czwarty między nimi jest najdłuższy i najsilniejszy tymczasem trzeci jest chudy, szkieletowaty. Z powodu tych cech zwierzę ma nazwę Palczaka (*Fingerthier*). Żywi się on larwami drzewnymi, żyjącymi pod korą. Ażeby się do nich dostać, zdziera korę zębami bardzo silnie rozwiniętymi i za pośrednictwem palca opatrzonego w rodzaj haka, operuje jak sondą, aby pożywienie wydobyć z głębokiej kryjówki. Jak już powiedzieliśmy, Aye-Aye posiada bardzo wielkie oczy, aby móc widzieć, w nocy i kolosalne uszy, za pomocą tych ostatnich, nadzwyczaj wrażliwych na najcichszy szmer, słyszy szelest, jaki sprawiają larwy w drzewie, i kierując się tym zmysłem, trafia na zdobycz. Pierwszy okaz przywiezionym był przez Sonnerata do Europy, niedługo jednakże pozostawał przy życiu, a skóra i szkielet w Muzeum paryżkiem były do roku 1844, jedynym okazem w tym rodzaju w Europie. W r. 1862 otrzymał londyński ogród drugi okaz żywego Aye-Aye, hamburski jest trzecim z kolei. O sposobie jego życia na wolności, prawie nic nie wiadomo. W klatce żywi się mlekiem, jajami i słodkimi owocami, które tylko w nocy sobie wyszukuje w swem więzieniu i wówczas jest dosyć ruchliwym.

J. S.

## Wiadomości literackie i naukowe.

7. Wydawany przez stowarzyszenie urzędników austriackich od lat kilkunastu rocznik *Die Diöskuren* z początkiem roku bieżącego pomnożył się o tom siedemnasty całkowitego zbioru. Wydawnictwo to, cieszące się nadspodziewaną popularnością, rokrocznie podaje coś z rzeczy polskich, jakąś monografią historyczną lub historyczno-literacką, sprawozdanie krytyczne, szczegóły z życia i działalności jakiejś znakomitej postaci, albo przekład poezji, nowelli i t. p. W bieżącym tomie Baron Teuffenbach daje studium o księciu Józefie Poniatowskim, a panna

Emilia Bett—przekład ze zbioru utworów poetycznych p. Gomulickiego.

Baron Teuffenbach prostuje dla Niemców datę urodzenia księcia Józefa. Dotychczas w dziejopisarstwie niemieckim utrzymywało się mniemanie, że syn księcia Andrzeja z hr. Kińskich, urodził się w Warszawie w r. 1762. U nas nie było nigdy wątpliwości, ani co do miejsca, ani co do czasu. Wiedzano, że książę przyszedł na świat w Wiedniu, w Maju 1763 r., ale dzień, jak się teraz okazuje z metryki chrztu w kościele „Schottenkirche“, oznaczano mylnie na „7-go“, kiedy istotnie dziecię urodziło się dnia czwartego (4) Maja (1763 r.) w pałacu Kińskich, przy Herrengasse.

8. Bardzo dobrą książkę dała publiczności polskiej przedsiębiorca firma Teodora Paprockiego. Jest to przekład popularnego, ale poważnie opracowanego dziełka Shalera, profesora paleontologii w Harvard College w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, p. t. *Dzieje Ziemi* (str. VIII, 300, 1 klnb, XV, 1 klnb; Warszawa, 1888, in 12-o). Przekładu dokonał p. Henryk Wernic, znany z użytecznej swej działalności na polu piśmiennictwa wychowawczego. Współpracownictwo p. p. Słóarskiego i Siemiradzkiego, ręczy za dokładność przekładu i nazw polskich, a dodane przez obydwóch tych specjalistów objaśnienia, a raczej uzupełnienia wcielocone w text, podnoszą jeszcze wartość oryginału angielskiego. Zdaje się, że wszystko prawie to, co znajdujemy w dziełku o stosunkach geologicznych swej ziemi, wyszło spod umiejętności piór tych ludzi szczerzej nauki.

Z dziełka Shalera w ten sposób opracowanego, przy pilnej uwadze, można powziąć rzetelne wyobrażenie o processie życia ziemi od najpraszniejszych jego zawiązków. Autor pokazuje nam i wytwarzanie się samej planety naszej i zwierchniej na niej skorupy w pojedynczych epokach i w głównych uwarstwieniach. Dodanie do tytułu „nauka geologii“ nie wydaje nam się zupełnie właściwym: w książce jest coś więcej, niż geologia, bo nauka o kryształach i mechanika działania wód, a niema całkowitej geologii, chociażby najtreściwiej upostaciowanej. Dziełko, przeznaczone dla umysłów rozpoczynających dopiero trudy wiedzy, prawdziwy pożytek kształcącej się młodzieży przynosi. Wielka przystępność i jasność wykładu pozwala przyjąć w siebie lekko rzecz z samego niby przedmiotu swego ciężką. Dołączone wyobrażenia zarysowe, w liczbie 127-u, ułatwiają zrozumienie wykładu, a szeregi pytań w końcu każdego rozdziału umożliwia łatwiejsze zapamiętanie.

Stawiane z wielką ostrożnością wnioski i domysły autora wzbudzają żywe zaciekawienie. Niema w nich nic nowego, bo nie od nowości i nowinek są podręczniki, ale niema też i nic sprzecznego ze zdobyczami nauki nowoczesnej, jak się to zdarza w niejednym stronnicy układanym podręczniku, czy w tej, czy w innej gałęzi wiedzy przyrodniczej. Shaler należy do rzędu przyrodników, stojących pośrodku między bezwzględni ewolucjonistami a wyznawcami pewnego niewzruszonego planu, ze ścisłym odgraniczeniem gatunków; przyjmuje też i hipotezę całkowitych przemian form organicznych. W ogromie stworzeń dziś istniejących nie widzi jednej przewodniej nici, dostrzega raczej kilka pojedynczych grup, każdą według osobnego wzoru powstałą. Są to jakgdyby próby, doświadczenia, podejmowane w celu wynalezienia wreszcie takiego typu organizmu, któryby już mógł być—jak się pięknie autor wyraża,—„godnym mieszkaniem dla inteligencji.“ Ze wszystkich tych prób i doświadczeń najlepsze wyniki dało wytworzenie zwierząt kręgowych stojących na szczycie życia organicznego, a w drodze ciągłego doskonalenia tego typu zjawiał się wreszcie i organizm ludzki. Przypadek nie mógł tu być jedynym czynnikiem; owszem—„badacz bezstronny uważać musi człowieka za istotę, do której utworzenia świat ustawicznie dążył.“ Dawniejsze epoki geologiczne starały się głównie o wzrost ciała; wiek dzisiejszy pragnie spotęgować siły umysłowe ludzkości. „Z każdym dniem cała przyroda dostaje się pod coraz ściślejszą kontrolę czło-

wieka... Z czasem cała natura w zupełności służyć mu będzie." Działaniu wód przywiązuje Shaler znaczenie ogromne, nie tylko wytwórcze, ale i niszczące. Gdyby nie wody, to Eweresty i Chimborassa miałyby po 3 mile wysokości; wody pospłukiwały ich szczyty. Słońce względem ziemi przyrównywa Shaler do kotła maszyny parowej. Każde stworzenie na świecie jest kawałkiem ziemi obdarzonym na chwilę życiem. Teorią Darwina uważa autor jedynie za hipotezę, nieścisłą nawet jeszcze wszystkich wątpliwości. Starożytność Ziemi przejmie umysł ludzki podziwem. Od pierwszego ukazania się życia organicznego upłynąć musiało najmniej 100 milionów lat.

Staranne wogóle wysłowienie, wskutek dziwnego niedopatrzania się tłómacza, razi na str. 162 użyciem czterokrotnym wyrażenia: *dało się uczuć* (o trzęsieniu ziemi). Po poprawieniu błędów wykazanych w końcu książki, potrzeba jeszcze na str. 236 (wiersz 17-ty) poprawić „istniejących” na *nieistniejących*. Formy wyrażenia: „Zawdzięczamy powolnym zmianom dopomagającym stworzeniem” unika się w starannym toku mowy. Są to dwa celowniki podrzędne w znaczeniu a współrzędne w składni. Podobnego błędu dopuszczają się nie raz autorowie oryginalni z narzędziem, np: „Szła z Piotrową okrytą chustką zapiętą spilką.”

## Kronika działalności kobiecej.

— Dnia 4-go bieżącego miesiąca umarła s. p. Natalia z Bispingów generałowa Kicka, matrona wysoce szanowana dla cnót swych obywatelskich i szlachetnej godności ducha. Na trumnie złożonych było kilka wieńców, zwłoki spoczęły na Powązkach w grobie tymczasowym. Zmarła zostawiła po sobie cenny zbiór numizmatów i obrazów, lecz więcej nadto zostawiła społeczeństwu swemu pamięć typowej postaci niewiasty naszej, pojętej wedle tradycyjnego wzoru dostojnej kobiecości.

— Dąbrowskie Towarzystwo Dobroczynności, które zawiązanem zostało w skutek inicjatywy wyszłej od szlachetnie czujących pań tamtejszych, nie uległo bynajmniej w zawiązku samym opuszczeniu, jak to błędnie rozgłoszonem zostało, ale formalności urzędowe nie są dotąd przeprowadzone, więc panie dąbrowskie, oczekując na legalne ukonstytuowanie się Towarzystwa, prowadzą miłosierne swe dzieło prywatnie, każda od siebie, i tylko za porozumieniem się wzajemnem, aby rzeczywiście biedni, rzeczywiście wsparcia potrzebujący, otrzymywali je jedynie, a to pod postacią zasiłków pieniężnych, żywności, oraz odzieży, którą same szyją.

Szczegół ostatni ma wobec prawdziwej filantropii znaczenie nie małe, bo trud osobisty, osobista praca, na korzyść biednego niesiona, jest może najprawdziwszą i najwyższą zasługą jedyną dobroczynnością, zwłaszcza dla osób pewnej już zamożności, gdyż łatwiej jest w warunkach takich dać biednemu grosz jakiś, niż przyłożyć się osobiście do ulżenia jego niedoli.

List wiarogodny, z Dąbrowy Górniczej otrzymany, powiadomił Redakcyę o prawdziwym stanie rzeczy.

— Deputacya pań poznańskich powitała na dworcu drogi żelaznej przybywającą do Poznania cesarzową Wiktoryę, która wraz córką, księżniczką Wiktoryą, przybyła dnia 9 Kwie-

tnia r. b., dla zwiedzenia dzielnic miasta dotkniętych okrutną klęską powodzi. Pani Honorarya Kwilecka podała cesarzowej Wiktoryi bukiet kwiatów, który ta przyjęła bardzo uprzejmie i wogóle darzyła wielką i wyróżniającą się uprzejmością panie polskie, należące do komitetu ratunkowego. Cesarzowa, Wiktorya Adelajda Marya Ludwika, jest najstarszą córką królowej Wiktoryi angielskiej. Urodzona w 1840 r.; wyszła za księcia Fryderyka Wilhelma pruskiego w 1858, to jest wtedy, kiedy nie był jeszcze wręcz następcą tronu, bo panował podówczas stryj jego, i było to zameżcie zawarte przez królową angielską bez żadnych widoków ambicji, z uczucia jedynie, z miłości, która też nigdy nie zawiodła. Książę Fryderyk był bardzo skromnie uposażonym, bo dom pruski bogatym nie jest, i życie młodej pary musiało też być bardzo skromne, przecież kochająca i kochana kobieta nie czuła się przez to nieszczęśliwą. Zapełniała je sobie obowiązками rodzinnymi, tak pojmowanymi, jak pojmować je powinna każda uczciwa, każda kochająca żona i matka. Na rozrywkę życia, na jego uprzyjemnienie, obrała sobie księżną Wiktoryą sztukę, która była jej pocieszycielką w chwilach trudnych, bo wychowana w innych, szerszych, niż Niemki pojęciach i poglądach na życie, mająca inny niż one kanon dla cnót i obowiązków kobiety, stała się wkrótce przedmiotem obmowy i szyderstwa arystokratycznych kół Berlina, w których mało też żyła, nudząc się między Niemkami. Że oddawała się muzyce z zapałem, że malowała, przeżywano ją uszczypliwie Mozartem, Michałem Aniołem, a szczególnie ta ostatnia nazwa przylgnęła do niej, z powodu wyniosłości, z jaką następnie traktowała nieprzychylnie sobie, koła dworskie. Tylko matka męża pokochała synową i węzeł ten serdeczny trwa po dziś dzień, bo cesarzowa Augusta, z domu księżniczka Wejmarska, więc też wychowana w tradycjach szlachetnych i wolnomyślnych, z umysłem wysoko wykształconym, czuła się nieszczęśliwą i samotną w Berlinie i była prześladowaną podobnie, jak „Anielka.”

Ale księżna Wiktorya miała silnie kochającego i pojmującego ją męża, więc utrzymała sama dla siebie i nadała rodzinie tryb życia, pruską etykietą nie ścięśnionego, wychowała w nim dzieci, córki przynajmniej, a gdy choroba księcia Fryderyka, już w biegu czasu następcy na cesarski tron Niemiec, przyszła ją próbować ciężkimi doświadczeniami, okazała się szlachetnie mężną i silnie na gruncie obowiązku stojącą. *Michał Anioł* nie został teraz przy pałacu malarskiej: dzienniki donosiły, że cesarzowa Niemiec dogląda osobiście — osobiście w kuchni przebywając, przygotowania potraw dla chorego męża, który ją kocha i kochał zawsze miłością wierną i którego szlachetne, ludzkie podniesienie się ponad poglądy Bismarcka, jej przypisują. Że umie współczuć z nieszczęściem, że umie szanować niedolę, — pokazała to, zwiedzając zalane wodą dzielnice starego grodu wielkopolskiego. Gdy odjeżdżając stanęła w oknie wagonu, publiczność widziała, że płacze — wielkie łzy spływały jej po licu.

Cesarz Fryderyk zaraz niemal po objęciu władzy monarszej ozdobił żonę najwyższym orderem pruskim Orła Czarnego.

— Panie polskie, zamieszkujące Anglię, a związane w komitet, przyjmujący nadsyłane przedmioty, przeznaczone na wystawę w Glasgowie, urządziły z otrzymanych okazów w Londynie, w Westminster Town Hall, wystawę, która zainteresowała bardzo publiczność angielską w dziale kilimków. Zwłaszcza nadesłane ze Lwowa przez hr. Włodz. Dzieduszyckiego, zwróciły uwagę przez czystość i piękność barwy czerw-

nej; wzbudzając zarazem chęć dowiedzenia się, z kąd kobiety wiejskie, wyrabiające takie kilimki, biorą kraszącą je farbę? Pewien przemysłowiec angielski, obecnie milioner, Wincenty Robinson, który zrobił ogromny majątek, sprowadzając do Anglii kobierce wschodnie, dał się słyszeć, że podania perskie i tureckie wspominają o barwniku, prowadzonym z Polski, a otrzymywanym z robaczki, zwanego „kermis,” który pasożytnie żyje na liściach karłowatego dębu. Według owych podań, z którymi się spotkał ów angielski przemysłowiec, wiejski nasz lud wychodził w Lipcu do lasu i podnosząc opuszczone, ra ziemi leżące gałęzie dębu, zbierał ze spodniej strony liści robaczki owe, posługując się przytem szczotkami. Czy nie jest to przypadkiem „Czerwiec,” z którego otrzymano u nas farbę karmazynową? — pyta donoszący to korespondent *Wieku*, dodając, że nasze barwy, zwłaszcza na wyrobach z XV i XVI wieku są bardzo świetne i trwałe, bo do dziś dnia nie utraciły blasku swego. Londyński komitet wystawy wzywa o możliwie najrychlejsze nadesłanie większej liczby kilimków, zwłaszcza starych. Okazy te przysyłać mogą ich posiadacze do Krakowa, do Kancelaryi Towarzystwa Sztuk Pięknych w Sukiennicach, z kąd natychmiast do Londynu wyprawione zostaną.

Gdyby udało się odkryć ów pożądany barwnik, który tylko na naszej roślinności się znajduje, stałoby się to niewątpliwie źródłem ubogacającego kraj dochodu. Wiejskie panie nasze powinny zwrócić się do ludu po wiadomości o dawnym sposobie kraszenia nacerwono, który wypchniętym został z użycia przez ułatwione sposoby farbowania za pomocą farb kupnych, chemicznie otrzymywanych. Sposób dawny: sekret, jak się niegdyś mówiło, może znanym jest dotąd ludowi, jakkolwiek popadł w zaniechanie. Zwłaszcza stare kobiety mogą coś wiedzieć o nim.

— Królowa Małgorzata włoska, przyjęła bardzo łaskawie i dobrotnie na przyjęciu wielkanocnym wręczony jej przez księżnę Ludmiłę Falconieri, z domu Hołyńską, adres dziękczynny kobiet galicyjskich za uratowanie od zagłady celi S-go Stanisława Kostki. Galicyjskie panie zwróciły się niegdyś do niej z prośbą o ocalenie drogiej pamiątki, a teraz doszło rąk królowej podziękowanie, tworzące tom gruby, bo obejmujący kilkadziesiąt tysięcy podpisów. Oprawa księgi ma być bardzo świetna i, jak donoszą dzienniki włoskie, bardzo gustowna.

— Pierwsza apteka, utrzymywana w Belgii przez kobietę która po skończeniu studiów farmaceutycznych, otrzymała patent aptekarski na własną swą osobę, jest własnością Maryi Beaufort, która założyła własną aptekę w Leodyum. Zajęcie to bardzo właściwe dla kobiety, skoro je podpira dostateczne w tem kierunku wykształcenie, już należy od lat wielu do uznanych gałęzi pracy kobiecej w Hollandyi, gdzie wiejskimi aptekarkami są prawie przeważnie kobiety, szczególnie córki lub żony, lekarzy wiejskich, przeczaj po przebyciu potrzebnej nauki i otrzymanym patencie. Włoszki kształcą się na aptekarki, ale też praktykują swój zawód głównie po wsiach. Tam bywa on często łączony z zawodem lekarki chorób kobiecych.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

**TREŚĆ:** Ostatnie chwile Abelarda, (fragment), przez J. Nitowskiego. — Pogawędka. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Z działu przyrody, (dokończenie), przez J. S. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Konika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje Dokończenie powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekretu gospodarskie. Dyspozycya stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbrandta Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою — Варшава 6 Апрелья 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.